

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

13

(Ciąg dalszy).

Nie zwróciłem się jednak do Duncana ani z jedną ani z drugą mową... Miałem na tyle zimnej krwi i nadludzkiej odwagi, iż zdołem mu odpowiedzieć najobojętniejszym głosem:

— Skąd ty o tem wiesz?

...I gdy po skończeniu budżetu Joe Duncan opuścił Filadelfię, by powrócić do Nowego Jorku, życzyłem mu przyjemnej podróży, nie spodziewając się, że nigdy już nie ujrzę tego człowieka żywym.

Po tygodniu otrzymałem znowu wiadomość z Francji. William zwracał się do mnie wprost ze zniewagami, Marcadian zaś dawał mi klucz do zrozumienia niezgody, jaka z dniem każdym zwiększała się między mą córką Ewelina a synem Joego.

„...Pan nie może pojąć, drogi master Brentano — pisał mi — całej grozy położenia... Ewelina okazała tyle słabości charakteru, iż wyznała swemu mężowi kim jest ten Z..., który dla niej jedynej tylko nie był obcym. Nie mogę wyjawić tego panu w tym liście! Pańskie miłosierne serce rozdarłoby się z żalu wobec takiego zbiegu okoliczności!... Pragnąłbym, by pan jak najprędzej mógł przybyć do Francji i u uwolnić się wobec Williama od podejrzenia, żeśmy razem zmówili się, by doprowadzić do ślubu Lucy Weill z tym Z...! To wszystko razem wzięte jest tak straszne, iż pan nie może nawet wyobrazić sobie całego położenia“!

...List wypadł mi z rąk!... Wylewałem obficie łzy nad nieszczęśliwym losem mej córki, widziałem bowiem w swym sercu jej straszne położenie. A więc William wiedział obecnie, że ja, Jonatan Brentano byłem tylko narzędziem w rękach Joego Duncana i rozumiałem teraz jego wyrzuty, podejrzenia i zniewagi.

Ach, jak ściśle i dokładne były wyrachowania króla papierowego! Zemsta męża Nelly Burlington istotnie spadała na jej syna!... W jakimś przeczuciu widziałem już wszystkie nieszczęścia, jakie nas oczekiwały w przyszłości!

Powziąłem postanowienie... A jeżelibym poszedł za radą Marcadiana?... Zdecydowałem się pojechać do Francji...

Nazajutrz zawiadomiłem o tem Joego, który się wcale nie sprzeciwił temu. ...Kazałem przygotować swe walizy. Byłem już gotów do odjazdu, gdy nagle przybycie do Filadelfii Polidora razem z Lucyą Weill, stanęło na przeszkodzie memu zamiarowi.

Filadelfia nie jest miastem uciech. Mogłem przekonać się o tem przez ten rok, który w niej spędziłem... Jest ona brudna, czarna i ponura, lecz zarazem i kolosalna. Czuć tu nieustanną pracę, czuć potężny wysiłek woli ludzkiej!... Każda fabryka jest oddzielne miastem całym w sobie i wszystkie te mrowiska ludzkie złączone są tajemniczo jedną duszą, duszą siły i wytwórczości, posuniętej do ostatnich granic, przez co Filadelfia tak bardzo wyróżnia się od innych miast Stanów Zjednoczonych.

Cóż zamierzało czynić w tem mieście pozbawionem wszelkich przyjemności, w zimie, gdy mróz dochodzi nierzadko do piętnastu stopni niżej zera, tych dwoje ludzi, oddanych tylko rozkoszy: Teddy i małżonka jego Lucy Weill? To był znak zapytania, jaki zjawił mi się w umyśle zaraz po ich przybyciu... Nie byłem na tyle naiwcy, by wierzyć w ich miłość dla mnie, jak to usiłował wmówić we mnie Polidor. Nie widząc przez rok swego syna, byłem zadowolony, że go ujrzałem teraz i chociaż przekonany byłem, iż przyjechali po to tylko, by wyciągnąć znowu odemnie pieniędzy, cieszyłem się jednak z ich przybycia... Polidor opowiadał mi o swych podróżach po Luizyanie, najpiękniejszą zakątku Ameryki, gdzie miał zamiar osiedlić się na stałe... Na twarzy jego i całej postaci malowało się zadowolenie z życia, jakie prowadzi. Lucy stała się jeszcze piękniejszą, niż była. Przepych jakim się otaczała, podnosił jeszcze bardziej urodę i potęgował wpływ, jaki wywierała na mężczyzn. I mimo woli podziwiałem dobór tej pary, nie troszczącej się o życie innych, oddanej tylko swym uciechom, korzystającej ze szczęścia wszystkimi porami swego ciała, przejętej tylko wynajdowaniem sobie nowych przyjemności. Ich wspólne szczęście miało tylko jedną małą plamę, której nie ukrywali przede mną...

Wyjawiali mi ją z cynizmem, który mnie bawił!... Nie myliłem się! Podróż jaką ta młoda para przedsięwzięła do Filadelfii, była podróżą dla interesu i została wywołana nie potrzebami serca lecz kie-szeni.

— Drogi master Brentano — wdychała rozczulona Lucy Weill — chodzi nam tylko o małą drobnostkę!... I to dlatego tylko, mój staruszeku, iż życie w Nowym Orleanie jest daleko droższe, niż w Bongirall!... Najgorszym z tego wszystkiego jest to, że dolary tam topnieją w palcach prędzej, niż pięciofrankówki w Paryżu.

— Sto tysięcy dolarów dla was dwojga, moi mali — odpowiedziałem ironicznie — czyni pięćset tysięcy franków dla tego, kto umie rachować.

— Cóż one znaczą te pięćset tysięcy franków! — odrzekła w zamysłeniu Lucy, przymrużając swe piękne oczy, jakby myślami goniła już nowe uciechy.

I puszczała przytem kółka dymu papierowego do góry i wyciągała się rozkosznie na kanapie, przysuwając do Polidora, obejmowała go, pieściła i szeptała miłośnie:

— Z mym ukochanym Teddym zniósłabym najgorszą nędzę! Każdy mi to przyzna!... Czyż nie kochany się najczulej, mój drogi Feddy?... A przecież pan, master Brentano, nie wydaje wszystkich swoich dochodów! Po cóż więc pan przyznał za swego syna Teddy, jeżeli teraz unieszczęśliwia go tak!

— Czy odegraliście już tę sceę przed Joem Duncanem? — zapytałem.

— Z Joem jest co innego! — odparła młoda kobieta!... Joe spłaca mi tylko dług wdzięczności!... Jest to nagroda, którą mi winien! Oceniał ją na tyle... daje więc tyle!... A przytem Joe nie miał nigdy serca... podczas gdy pan!...

Polidor, ukochany Teddy, najdroższy Teddy słuchał z opuszczonym czołem swej przełożonej i przyjmował naiwnie w siebie jad, jaki ten zły demon sączył mu do duszy. Uznałem za odpowiednie rozwiać odrazu ich nadzieje i odpowiedziałem młodej kobiecie delikatnie, lecz stanowczym tonem:

— Pozbądź się, moja mała, daremnych nadziei wydobycia odemnie przez pochlebstwo nowych sum! Wasza pensja jest aż nadto wystarczająca, by żyć bez troski!... Jeżeli jednak tylko w tym celu przybyliście do Filadelfii, to możecie wrócić tam, skąd przyjechaliście!

Lucy Weill odrazu zerwała się po tych słowach z kanapy... Rzuciła na mnie złe spojrzenie, które skaziło jej piękną twarz i nadało jej jakiś wstrętny wyraz! Zakłopotanemu i prawie zawstydzonemu Polidorowi wydała rozkaz:

— Chodź Teddy!... Nie będziemy kisać w tej budzie!

Tą budą nazwała mój pałac, w którym byłem najgościńniejszym i najwzględniejszym dla nich gospodarzem, nie ulegającym im jednak bezrozumnie.

Wieczorem po kolacyi oznajmili mi, że nazajutrz wyjeżdżają!... O ile byłem zadowolony z początku widokiem swego syna, o tyle teraz doznawałem prawdziwej ulgi z powodu ich odjazdu. Powiadomiłem Polidora o wypadkach we Francji, pozostał zupełnie obojętnym na te wiadomości. Stał się obcym dla Eweliny, przestał go interesować los własnej siostry! Stał się obcym dla wszystkiego, co nie było Lucyą Weill. Rzekł mi nawet pewnego razu zupełnie spokojnym tonem:

— Po co się mieszasz do tego, co do ciebie nie należy?... Jesteś najszczęśliwszym z ludzi i po części dzięki mnie! Dobrzebyś się urządził, gdybyś powrócił do Paryża, wsadził palec między drzwi i dał się schwytać!... Jeżelibym miał trochę władzy nad tobą, mój ojciec, rzekłbym ci: „Nie powienesz wracać do Francji!“ I jeżeli moja właśnie wizyta przeszkodziła ci jechać, to przyznasz sam, że przysłużyłem ci się nieco!

Jakiegoż potwornego człowieka zrobiła z niego miłość dla Lucy Weill!

Następnego dnia otrzymałem depeszę od Marcadiana, która dodała mi wiele nadziei... Stał się tam doniosły wypadek, który mógł wszystko naprawić, przywrócić Williamowi miłość dla żony, wzbudzić w nim na nowo poczucie obowiązku, rozwiązać wszelkie nieporozumienia, usunąć wzrastający między nimi rozłam. Przepojony byłem radością, zdawało mi się, że ten kawałek papieru przynosi mi całe szczęście ludzkie, oddaje pod mą władzę całą przyszłość. Pierś ma napędlana się niezmiernym wzruszeniem, serce me biło w jakiś nowy rytm. Poruszając w swych rękach depeszę Marcadiana, w której donosił mi, że Ewelina wydała na świat „dwoje zdrowych zupełnie bliźniąt, chłopca i dziewczynkę“, iż w swych rękach dzierzę zdobyty na nieprzyja-

cieli sztandar. Upity radością bez granic powtarzałem bezustannie dwa imiona: Piotr i Zuzanna, które wydawały mi się najpiękniejszymi.

Wydawałem gorączkowo rozporządzenia do wyjazdu, odłożonego z powodu wyjazdu syna, gdy nagle do salonu, w którym się znajdowałem, wszedł Polidor. Zwróciłem się ku niemu. Był zupełnie błądy... Chwiał się na nogach, jak człowiek pijany... Opadł na kanapę, na której poprzedniego dnia wyciągała się rozkosznie Lucy... Patrzył na mnie tępo, błędnymi oczami, z zmarszczonymi brwiami... Zdawało mi się, że widzę Polidora udającego szaleństwo w celi domu zdrowia Williama; zdawało mi się, że widzę i widziałem istotnie każdy rys twarzy Z... z celi nr. 13 w domu obłąkanych... Z gardła jego ściśniętego jakimś wzruszeniem, dobywał się z trudem głos...

— Wiesz — rzekł mi — ty musisz wracać do Francji!... Słyszysz, musisz wrócić tam! I nie masz ani jednej chwili do stracenia! Jedź... w przeciwnym razie niewiadomo...

Te dziwne słowa wymawiane w tej chwili, zaniepokoiły mnie... Poprzedniego dnia Polidor odciągał mnie od tej podróży! Polidor nie mógł jeszcze wiedzieć o depeszy Marcadiana! Cóż więc znaczyło obecne jego naleganie?... Dlaczego głos jego tak drży, skąd ta bladeść jego twarzy, skąd ten prze-strach w oczach?

Podszedłem ku niemu i zapytałem:

— Wytłómacz się, Polidorze! Co się stało?

— Powtarzam, iż musisz jechać... natychmiast... w przeciwnym bowiem razie nie odpowiadam za nic!...

Ruchem ręki odgarnął włosy z czoła...

— Nie odgadujesz?... Nie domyślasz się, dokąd ja zaszedłem?... Ach, gdybyś ty wiedział, kim jest moja żona Lucy!

— Czy ona cię tu przysyła?

Roześmiał się jakoś dziwnie na to pytanie, odkrywając dwa rzędy zdrowych zębów młodego wilka, człowieka oddanego swej namiętności — i odparł:

— Nie! To nie Lucy mnie przysłała!... Nie! naodwrot!... Nie zmuszaj mnie, bym ci powiedział, kto!...

I nagle w jakimś wybuchu nerwowego płaczu, biedny chłopiec opadł bez sił na fotel i głosem przerywanym spazmatycznym łkaniem szeptał:

— ... To mama!... Nie rozumiesz?... To straszne!... Posiadasz miliony, a odmawiasz trochę pieniędzy Lucy!... Jesteś tak głuchy i nieczuły jak mama, gdy mi odmówiła pięciu ludorów, których żądała odemnie Lucy Weill!... Tak, to Lucy mnie tu przysyła... tak jak i wtedy!... Ja nie wiem, jak to się dzieje... Ona mi rozkazuje, a ja jestem tylko posłusznym jej narzędziem!

I jękał się dalej przerażony swymi własnymi słowami.

— Idź stąd, mój ojciec, idź!... Nie jestem już panem siebie... nie rządę sobą!

— Ach, ty nędzniku! — zawołałem, stając przed nim... — Ty masz duszę zbrodniarza... i ty śmiałyś... i ty chciałbyś...

— To nie ja, to ona!... Ja ci wyznaję wszystko!... Coś mną kieruje, jakaś siła nieznana we mnie siedzi!... Ja nie wiem nic!... Wiem tylko jedną rzecz!... ona rządzi memi uczuciami... panuje nad mą wolą... Rozumiesz teraz?

— Tak, pojmuję wreszcie — odparłem — że żona twoja jest twym złym duchem i że nie unikniesz swego losu...

— Tak, to jest to!...

— Widzę, że uzbroiła twą rękę, by Teddy zabił swego ojca, jak Polidor zabił z powodu niej swą matkę!

— Tak jest! — potwierdził jeszcze raz, opuszczając ze wstydu głowę.

— Rozumiem jasno, że dziewczyna ta nie waha się w wyborze między pięćdziesięcioma tysiącami dolarów pensji a pół miliardem mego testamentu... i chce mnie zgładzić, abyś jak najprędzej oddzielił to po mnie.

— Tak, słusznie mówisz! — potwierdzał bezwładnie Polidor.

— Ach, podłe i nikczemne dziecko! — zawołałem, drżąc z oburzenia. — Słyszysz jeszcze w uszach swych słowa, jakie wypowiedziałeś po zabójstwie matki: „Czyż samobójstwo moje byłoby dostateczną karą za zbrodnię, jakiej się dopuściłem?... Tak, masz rację, Polidorze!... Twoją karą jest Lucy Weill... i teraz zaczyna się dla ciebie ta kara!

— A więc — zapytał głosem zupełnie naturalnym, podnosząc do góry czoło — nie chcesz podwoić naszej pensji?... Odmawiasz mi pięćdziesięciu tysięcy dolarów, jak matka odmówiła mi pięciu ludorów?...